

16.03.2014

O Białej Damie z zamku w Koziegłowach

autor: szkieletek

To, co pozostało po zamku koziegłowskim po raz pierwszy zobaczyłam wiele lat temu na okładce wspaniałego albumu o tematyce archeologicznej pod tytułem "Grodziska Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego z lotu ptaka", autorstwa panów Eugeniusza Tomczaka i Wojciecha Gorgolewskiego. Pozostałości fos i obwałowań na wykonanym z samolotu zdjęciu prezentowały się tak malowniczo, że nie można było oderwać oczu od zdjęcia...

Oczywiście książkę tę zakupiłam niezwłocznie i tak zaczęła się moja przygoda z archeologią. Niestety, kiedy pewnego dnia dotarłam na koziegłowskie Zamczysko trudno mi było ukryć uczucie zawodu – z poziomu ludzkich oczu zwaliska prezentują się nader skromnie i trochę nieciekawie, gdyż z warownej twierdzy nie pozostało zbyt wiele – ruiny rozebrano niemal "do gołej ziemi" w XIX wieku.

To, że z zamku nie zostało wiele wcale jednak nie przeszkadza miejscowym duchom. Podobno straszą tu z uporem i regularnością nadal i nie przeszkadza im wcale, że warownia koziegłowska niemal nie jest już widoczna w terenie.

Całą historia zaczęła się w wiekach średnich, bardzo dawno temu, wówczas, gdy na ziemi polski najeżdżali okrutni i bezwzględni Tatarzy. Podczas jednej ze swych licznych i niszczylielskich eskapad zapędzili się oni aż do Koziegłów. Z dziką zawziętością zaatakowali położoną wśród moczarów dumną twierdzę koziegłowską. Jednak potężne mury i głębokie fosy niebawem znacznie ostudziły ich zamiary. Wkrótce stało się jasne, że najeżdźcy zamku tak łatwo nie przejmą. Wobec nieskuteczności prowadzonych ataków Tatarzy postanowili wziąć mieszkańców fortalicjum głodem. Rozłożyli się więc obozem w odległości bezpiecznej, poza zasięgiem strzał obrońców i rozpoczęli oczekiwania na złożenie broni przez obleganych.

Tymczasem na zamku nastroje zapanowały niewesołe. Wszędzie rozlegało się biadolenie i zgrzytanie zębami. Chociaż wojakom udało się odeprzeć nawałę tatarską, to jednak wizja śmierci głodowej nikomu się nie uśmiechała. Nikt nie chciał też zginąć, ani dostać się do tatarskiej niewoli. Nie było innego wyjścia. Po burzliwej naradzie, z sercami ciężkimi z żalu, postanowiono porzucić warownię i pod osłoną nocy ratować się ucieczką.

Bo wiedzieć należy, że średniowieczni budowniczy niemal zawsze stosowali podczas wznoszenia zamków pewien fortel, dzięki któremu w historii niejedno życie ludzkie ocalało: w tajnym i znanym tylko zaufanym osobom miejscu ukrywali oni wejście do długiego, wąskiego tunelu, wyprowadzającego daleko poza obręb zamkowych murów i obwałowań. Korytarz taki, zwany potocznie "ucieczką" stanowił wybawienie w razie takich kłopotów, z jakimi borykała się właśnie załoga koziegłowskiego zamku. Oczywiście także nasza bagienna warownia takowe kazamaty posiadała i oto właśnie naszedł czas jego użycia.

Gdy zapadł zmrok mieszkańcy oraz obrońcy zamku, wraz ze swoim władcą, zaczęli szykować się do wymarszu. Gdy wszystko było już przygotowane, nagle pojawił się niespodziewany problem. Oto Kunegunda, młoda małżonka pana koziegłowskiego, kategorycznie odmówiła opuszczenia twierdzy.

Żądała, by wojacy zabrali ze sobą wszystkie bajeczne kosztowności, zgromadzone w piwnicach zamkowych, gdyż bardzo ich pożądała, nie wyobrażając sobie bez nich egzystencji (można przypuszczać, że tak po prawdzie to właśnie te drogie świecidełka skłoniły ją do ożenku z dużo starszym od siebie mężczyzną).

Ludzie mieli jednak zupełnie inne problemy, można rzecz: czysto egzystencjalne, więc nie słuchali kobiety zupełnie. W tobołkach dźwigali pożywienie i ciepłe okrycia, w dłoniach ściskali broń. W zaistniałej sytuacji nikt nie myślał o bogactwach, nikomu nie uśmiechało się też dźwiganie niewygodnego, hałaśliwego ciężaru, mogącego kosztować życie. Każdy myślał tylko o jednym – by jak najszybciej opuścić oblężoną warownię i odzyskać wolność. Ocalenie było w tym momencie dla ludzi największym na świecie skarbem.

Jednak pani koziegłowska nie rozumiała najwyraźniej ani sytuacji, w jakiej się znalazła, nie pojmowała też zagrożenia. Złoto całkowicie przysłoniło jej umysł. Oburzona przystąpiła do męża i spytała hardo:

- Mężu, a z pieniędzmi jak będzie?

- Niestety, kochana, musimy je tu zostawić, bo przeszkadzałyby nam okrutnie w i tak znojnym marszu przez tunel.

- W takim wypadku ja się z zamku nie ruszę – tupnęła stopą uparta niewiasta - Zostaję tu z moimi bezcennymi kosztownościami!

Władca, już i tak zagniewany i zły z powodu konieczności sromotnej ucieczki, zamiast polecić i żonę i dobytek Bożej opiece, wykrzyknął z wściekłością:

- A niechże i siebie i te całe przekłete pieniądze diabli wezmą!

Po czym zniknął w otworze tunelu, maszerując na samym końcu, za swoją świtą.

Odwrócił się jeszcze raz po kilku krokach i spojrzał na swą małżonkę, widząc jednak jej upór pojął, że skarby są dla niej cenniejsze niż życie, machnął w końcu ręką na niemądrą i chciwą kobietę i ruszył w mrok.

Następnego dnia Tatarzy, kiedy zorientowali się, że załoga zamku wystrychnęła ich na dudka i nocą czmychnęła z obleganych murów, mocno zdenerwowani przepuścili atak na twierdzę, oczywiście bez większego wysiłku ją zdobywając.

Nieco zaskoczył ich co prawda widok samotnej kobiety, broniącej jak lwica wejścia do skarbcza, ale w swej prostocie ducha nie zastanawiali się długo nad tą osobliwością. Po prostu bezceremonialnie zabili panią koziegłowską strzałą z łuku. Potem powyjadali wszystkie zapasy żywności, jakie pozostawili obrońcy i z tego powodu wkrótce bardzo nieprzyjemnie się zdziwili, gdyż okazało się, że sprytni koziegłowianie jedzenie zatruli. Pomarli więc Tatarzy w męczarniach, jeden po drugim, a skarby nietknięte pozostały w podziemnych piwnicach. Zgodnie ze słowami pana na Koziegłowach wzięły je w posiadanie diabły.

Od tamtego czasu zamek popadł w ruinę, a w dodatku zaczęło na nim straszyć.

Opowiadano, że odwiedzając zwaliska w samo południe można było spotkać na grodzisku wychodzącą z zasypanych piwnic zjawę niewysokiego człowieczka, ubranego w czerwone spodnie i tatarskie szaty, przechadzającego się po ruinach z charakterystyczną szablą u boku. Osobnik ten był całkowicie dla obserwatora niegroźny, popijał sobie bowiem miodu z dzbana i piastował jedynie posadę stróża koziegłowskich skarbów.

Ich władczynią i główną zamkową zjawą stała się natomiast Białą Damą, czyli zaklętą w ducha dawna władczyni zamku, która ceniła sobie bogactwa wyżej, niż własne życie. Z powodu śnieżnej bieli noszonych przez nią szat mieszkańcy Koziegłówek zaczęli nazywać ją Białą Księżniczką. Istota ta

nadprzyrodzona, krążąc po fosach i wałach w towarzystwie sfory demonicznych psów, dzwoniła przypiętym do pasa pękiem złotych kluczy zamykających skrzynie z nadal spoczywającymi pod ziemią skarbami, tak nierozważnie zakłętymi przed stuleciami przez uciekającego z zamku pana.

Podobno bajeczne kosztowności można spóbować przejąć na własność w bardzo prosty sposób: należałoby w tym celu podejść do Białej Damy i nie patrząc jej w oczy, nie zważając na ogień buchający z jej ust ani na psie ujadanie, bez lęku odpiąć magiczne klucze, zejść do piwnic i skrzynie otworzyć.

Łatwo powiedzieć! Niestety, z powodu postępu cywilizacyjnego oraz ogromnego ruchu, panującego na przebiegającej obok zamczyska trasy, łączącej Katowice z Częstochową, coraz trudniej Białą Księżniczkę napotkać! Zmęczona hałasem prawdopodobnie znalazła sobie ona inne miejsce do straszenia (osobiście uważam, że całkiem interesująco nadają się do tego celu nieodległe ruiny starego młyna, położonego nad potokiem Boży Stok).

Ale i na samym grodzisku można dostrzec innego rodzaju znaleziska i to bez pomocy ducha: w kretowiskach przy odrobinie szczęścia zauważyć można czasami fragmenty średniowiecznych naczyń oraz kawałki cegieł. Warto je pooglądać, poobrać w palcach i nacieszyć nimi oczy przez chwilę, ale potem należy pozostawić je na miejscu, gdyż po pierwsze, wedle obowiązującego prawa, wszelkie znaleziska archeologiczne stanowią własność państwową i wszelakie amatorskie wykopaliska są surowo zabronione, a po wtóre – nie zapominajmy o mających pieczę nad koziegłowskimi skarbami diabłach!

KONKURS